

Anna Kańtoch

Diabeł na wieży



powergraph

Warszawa 2018

Copyright © 2005-2018 by Anna Kańtoch
Copyright © 2018 by Powergraph
Copyright © 2018 for the cover illustration by Rafał Kosik
Copyright © 2018 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: +48 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-77-6

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

*Serdecznie dziękuję Eli Gepfert za pomoc
udzieloną mi przy pisaniu tych opowiadań*

0. Diabeł na wieży

Doktor Robert Darnis nigdzie się nie spieszył.

Pół dnia spędził w powozie i zaczynał już odczuwać nieuniknione skutki długiej podróży: zmęczenie, sztywność mięśni i rozdrażnienie. Dlatego gdy gospoda, w której stanął na posiłek, okazała się niespodziewanie całkiem przytulnym miejscem, postanowił zatrzymać się tu na jakiś czas.

Służący Darnisa, zachwyceni takim obrotem sprawy, pobiegli przenieść bagaże, a nie mniej uradowany karczmarz gorliwie podsuwał gościowi kolejne półmiski i napełniał kielich. Resztę dnia Darnis spędził, napychając pękaty kałdun i spoglądając na siąpiący za oknem listopadowy deszcz. Pozostali klienci – najpewniej chłopcy i słudzy z okolicznych majątków – popatrywali na niego ciekawie, ale nie odważyli się zaczepić. Był z tego rad, bo nie miał najmniejszej ochoty bratać się z pospólstwem.

Dopiero gdy zapadł zmierzch, przed gospodą zatrzymał się jeździec, który wzbudził zainteresowanie tęgiego medyka. To bez wątplenia szlachcic, pomyślał, spoglądając na elegancki płaszcz podróżnego.

Gdy tamten wszedł do sali, ciekawość Darnisa zmieszła się z niechęcią. Nieznajomy nosił skrojony według najnowszej mody kaftan, tyle że moda nakazywała ubierać się w barwy jasne, a strój przybysza był czarny, ożywiony jedynie srebrnymi, pięknie rzeźbionymi guzami. Spod kaftana wyglądała pieniaca się od delikatnych koronek koszula, rękojeść szpady zdobiły zaś – a jakże – perły i drogie kamienie, więc to, co powinno być bronią, sprawiało raczej wrażenie ślicznej zabawki. Mężczyzna miał gładką twarz o rysach zbyt ostrych, by uznać ją za sympatyczną, choć, skądinąd, odpychająca też nie była. Jasną barwę skóry podkreślały ciemne włosy i oczy, a wypiełgnowane dłonie nigdy chyba nie skalwały się pracą fizyczną.

Darnis, który uważał się po trosze za fizjonomistę, bez wahania zaliczył przybysza do grona zniewieściałych elegantów. Nie lubił takich typów, ciekawość jednak przeżyła nad niechęcią.

Zaprosił nieznajomego do stołu, podając przy tym swoje nazwisko i zawód.

— Domenic Jordan — przedstawił się tamten w odpowiedzi. — Również jestem lekarzem.

A więc to tylko pozer, który usiłuje udawać szlachcica, zmienił zdanie Darnis.

Jordan jadł kolację. Zachowywał się przy tym tak, jakby siedział nie w skromnej gospodzie, lecz przy stole zastawionym najdelikatniejszą porcelaną. Darnis towarzyszył mu, popijając wino. Ciężar konwersacji wziął na siebie, bo nowy gość okazał się wyjątkowo małomówny. Pękaty medyk, który skromność uważał za cnotę młodych pańienek, a nie dojrzałych mężczyzn, opowiadał o swoich sukcesach, a Jordan słuchał uprzejmie. Mijały leniwe minuty, ironiczny uśmiech bladoliciego lekarza

z czasem złagodniał, by w końcu stać się nawet pełnym podziwu. Przynajmniej tak zdawało się Darnisowi, który coraz częściej patrzył na ów uśmiech przez wypełniony winem kielich.

Domenic Jordan kończył już posiłek, gdy na zewnątrz ponownie rozległ się tętent końskich kopyt. Tym razem towarzyszył mu skrzyp kół powozu. Chwilę później do sali wszedł piętnastoletni może wyrostek, bogato ubrany, ale najwyraźniej mocno speszony. Zdjął czapkę i podszedł do stołu, przy którym siedzieli lekarze.

— Wybaczcie, panowie — wymruczał, kierując słowa do klepek w podłodze. — Moja pani dowiedziała się właśnie, że w gospodzie przebywa lekarz, i prosi, jeśli to nie kłopot, by zechciał przyjąć zaproszenie do rezydencji Ferlay. Młoda panienka, córka pani, od dawna słabuje, a w tej okolicy trudno o dobrego medyka, więc... Jeśli to nie kłopot... Nie kłopot... — Chłopak zaciął się i zaczął powtarzać.

— Synku — powiedział Darnis tonem, jakim zazwyczaj zwracał się do kapryszących małych pacjentów. — Do kogo ty właściwie mówisz? Obaj jesteśmy lekarzami.

Zakłopotany posłaniec poczerwieniał.

Darnis sapnął. Pochłonięte w ciągu dnia jedzenie ciążyło mu w żołądku i marzył już tylko o tym, by położyć się do łóżka i zamknąć oczy. Z drugiej jednak strony, nie zamierzał pozwolić na to, by ten elegancik sprzątnął mu sprzed nosa majątnego pacjenta.

— Cóż — rzucił pozornie niedbale — tak się składa, że mam trochę czasu i chętnie przyjmę zaproszenie. Panu zaś — spojrzał na drugiego medyka — pewnie pilno w dalszą drogę?

— Nie — uśmiechnął się Domenic Jordan. — Ja również nigdzie się nie spieszę.

Ferlay bardzo rozczarowało Darnisa. W mglisty, jesien-ny poranek rezydencja nieodparcie przywodziła na myśl staruszka, który niepomny na swój wiek, wciąż chce uchodzić za młodzieńca.

Dom był kwadratowy, przysadzisty, raczej solidny niż piękny. Fasadę pomalowano na ceglasteróżowy kolor, ale farba łuszczyła się i odpadała, odsłaniając ciemne, spękane kamienie. Okiennice, niegdyś zapewne jasnozielone, poszarzały od brudu, przybierając nieciekawą barwę zgniłych liści. Ku oknom pięły się cierpliwie nagie pędy bluszczu, a w szparach między kamieniami rosły kępki mchu i zwiędłej, brązowej trawy. Niewysoka wieża upodabniała rezydencję do małego zamku.

Idąc zarośniętą wąską ścieżką, Darnis zapuścił się w głąb ogrodu. Cierniste gałęzie krzewów chwyciły go za rękawy płaszczka, a wysokie drzewa, o nigdy chyba nieprzycinanych konarach, tworzyły nad głową baldachim z ciasno splecionych gałęzi i pomarszczonych liści. Czuł się trochę tak, jakby kroczył kościelną nawą.

Ścieżka skończyła się nagle, a on wyszedł na okrągłą polankę, na której stało coś, w czym z jakimś trudem rozpoznał kamienną fontannę. Nad popękaną cembrowiną pochylał się Domenic Jordan.

— Znalazł pan coś interesującego? — zapytał Darnis z ciekawością.

Mężczyzna odwrócił się.

— Obawiam się, że trafiłem na zbiorową mogiłę. Proszę samemu zobaczyć.

Na ustach Jordana rysował się leciutki uśmiech, ale Darnis nie dostrzegł tego. Zdawało mu się, że bladolicy lekarz mówi ze śmiertelną powagą. Podszedł bliżej

z zamartwym sercem, całą siłą woli powstrzymując się przed zaciśnięciem powiek. Spojrzał w dół.

Ulga omal do reszty nie odebrała mu władzy w kolanach, już i tak miękkich jak masło. Potem przyszedł gniew i – zupełnie niespodziewanie – wesołość. Nie wiedział, czy się śmiać, czy też oburzyć.

W basenie fontanny leżały zabawki: pluszowy miś, ołowiane żołnierzyki, drewniana replika karety, pudełko po cukierkach, z którego wysypywały się jakieś drobiazgi, piłka, wykrzywiona w paskudnym uśmiechu karnawałowa maska, konik na biegunach i mnóstwo innych rzeczy, które spotkać można w dziecięcym pokoju. Musiały tu leżeć od dawna, bo większość była mocno już zniszczona – miś porósł zieloną jak mech pleśnią, materiał karnawałowego stroju zbutwiał, a wilgoć zatarła twarze dzieci, które trzymając się za ręce, tańczyły na pudełku po cukierkach.

Podniesionym z ziemi patykiem Jordan przewrócił na plecy pluszowego misia. Zabawkę pozbawiono guzikowych oczu. Ktoś wydarł je siłą, pozostawiając jedynie strzępy nici. Jordan wskazał konika na biegunach. Darnis podążył wzrokiem za wyciągniętą dłonią i wzdrygnął się lekko, bo konik także był ślepy – w miejscu, gdzie powinny się znajdować oczy, ziały dwie wycięte nożem dziury.

Wnętrze domu prezentowało się odrobinę lepiej niż fasada i ogród. Można tu było znaleźć zarówno stare, wysłużone sprzęty, jak i nowe fikuśne mebelki. Nieliczna służba nosiła zbytkowne stroje, a Emma Marivel, pani na Ferlay, nie pokazywała się inaczej, jak tylko ubrana we wspaniałe suknie z brokatu, mory lub ciężkiego jedwabiu. Wszystko świadczyło o tym, że choć Ferlay lata

światności ma już za sobą, dòna Emma nie przyjmuje tego do wiadomości.

Robert Darnis nie potrafił jej jednak potępić. Nie krył, że Emma Marivel wywarła na nim wielkie wrażenie. Była wysoką, jasnoskórą i złotowłosą kobietą o dumnej urodzie, którą ledwo zdołał nadwątlić upływający czas. Siedząc przy stole, pękaty medyk pożerał wzrokiem panią domu, bo w blasku słońca wydała mu się jeszcze piękniejsza niż wczorajszego wieczoru.

Po śniadaniu dòna Emma zaprowadziła ich do sypialni córki. Weszła pierwsza, w półmroku pochyliła się nad leżącą w łóżku dziewczyną i szeptała długo. Darnis miał wrażenie, że matka i córka spierają się o coś. Jakiś przedmiot przewędrował z rąk do rąk i dopiero wtedy dòna Emma odsunęła zasłony.

Darnis mało nie krzyknął, ale raczej ze zdziwienia niż z przestachu.

Juliana Marivel siedziała na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę. Na głowie miała czarny kapelusik z opadającą na twarz gęstą woalką.

Dòna Emma wyszła, a Darnis przysunął sobie krzesło i spróbował przybrać profesjonalny, współczujący wyraz twarzy, zupełnie jakby badanie ukrywających się pod woalką dziewcząt było dla niego codziennością. Jordan stanął przy oknie. Wyglądało na to, że rozciągający się na zewnątrz widok jest dla niego znacznie ciekawszy niż cierpiąca dziewczyna.

Zachęcona przez Darnisa, Juliana zaczęła mówić. Opowiadała o braku apetytu, bezsennych nocach, osłabieniu, duszności w piersi i kołataniu serca. Mówiła długo i chętnie, ale niezbyt jasno, po kilka razy wracała do tych samych objawów. Medyk, nie mogąc spoglądać pacjentce

w twarz, patrzył na jej ręce, na szarpiące brzeg kołdry drobne, delikatne palce.

Robert Darnis wyspecjalizował się w leczeniu bogatych, rozkapryszonych dam, którym tak naprawdę nic poza nudą nie dolegało. Był w tym dobry, bo natura obdarzyła go darem wymowy, a przede wszystkim zdolnością słuchania. Wysłuchiwał więc skarg swoich pacjentek, uspokajał je, a potem przepisywał jakiś niezwykle drogi, egzotyczny lek. Przekonał się już, że im trudniejsze do zdobycia składniki medykamentu i im oryginalniejsza jego nazwa, tym szybciej chora wstawała z łóżka.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć, słysząc to, co mówiła Juliana, Darnis powiedziała, że ma do czynienia właśnie z taką sytuacją – oto znużona panna wymyśla sobie nieistniejącą chorobę, chcąc w ten sposób zyskać odrobinę uwagi i współczucia.

Tym razem jednak nie miał pewności. Dziewczyna fizycznie była zdrowa, ale w jej głosie wyczuwał autentyczną udrękę. Mimo to zdecydował się potraktować ją w zwykły sposób. Na kartce wypisał receptę – pięć wyciągów z rzadkich ziół, które razem tworzyły po prostu wyjątkowo drogi lek na uspokojenie.

Gdy wyszli z sypialni panny Marivel, Darnis zaproponował Jordanowi spacer po ogrodzie. Atmosfera domu działała na niego przygnębiająco.

— Jak pan sądzi, mamy tu do czynienia z przypadkiem młodzieńczej hysterii czy też z czymś poważniejszym? — spytał, gdy przechadzali się wąskimi alejkami. Obaj, jakby umówieni, unikali miejsca, które Jordan nazwał zbiorową mogiłą.

Zapytany potrząsnął głową.

— Bezsenność, brak apetytu, wszystko to bzdury. Ani słowa nie powiedziała nam o tym, co naprawdę ją dręczy, czego się boi.

— Boi się? — Darnis pytająco uniósł brwi, ale nie doczekał się odpowiedzi.

— Widziałem kogoś w ogrodzie — powiedział zamiast tego Jordan. — Chłopca, wpatrującego się w okno pokoju dówny Juliany.

— Jednego ze służących?

— Nie jestem pewien. Stał niedaleko, mimo to nie widziałem go zbyt wyraźnie. Nie wyglądał jednak na służącego.

Darnis wkrótce przekonał się, że wpadł w pułapkę własnej rutyny.

Ingredicje, które wchodziły w skład przepisane go leku, można było zdobyć jedynie w mieście odległym o dwa dni drogi. Emma Marivel wysłała już służącego, ale miał on wrócić nie wcześniej niż w czwartek rano. Ubłagała więc Darnisa, by został do tego czasu i osobiście nadzorował sporządzenie leku. Medyk zgodził się, kierowany poczuciem winy. Nie sądził, by lekarstwo pomogło pannie Marivel, ale liczył, że w ciągu tych dwóch dni uda mu się wyciągnąć z dziewczyny prawdziwą przyczynę jej cierpienia.

Również Jordan zdecydował się zostać. Zapytany przez Darnisa, wyjaśnił to ciekawością.

— W tym domu — powiedział — dzieje się coś niedobrego, a ja mam zamiar się dowiedzieć co.

Domenic Jordan nie był lekarzem. Miał potrzebną wiedzę, owszem, w tym względzie z pewnością nikt nie zarzuciłby mu oszustwa, ale Darnis znał tak wielu medy-

ków, że bez trudu potrafił rozpoznać kogoś, kto nim nie był. Jego podchwytliwe pytania były uprzejmie zbywane.

Duża, raczej teoretyczna niż praktyczna, wiedza Jordana, jego nienaganne maniery, zamiłowanie do ekscentrycznego czarnego stroju, a przede wszystkim osobliwe poczucie humoru – wszystko to przemawiało za tym, że Darnis miał za towarzysza po prostu dobrze urodzonego, bogatego dziwaka.

I na tym wniosku medyk chwilowo musiał poprzestać.

Tuż przed zmierzchem zaczął padać pierwszy tego roku śnieg. Domenic Jordan wyszedł do ogrodu. Stał tam przez chwilę z zamkniętymi oczami i uniesioną twarzą. Na skórze czuł płatki śniegu niczym delikatne muśnięcia lodowatych dziecięcych palców.

Gdy otworzył oczy, zobaczył zbliżającą się ku niemu dziewczęcą postać. Szła szybko, nieomal biegła, a jej czarna suknia i czarna woalka wyraźnie odcinały się od śnieżnej bieli.

— Chciałam porozmawiać. Proszę... — powiedziała zdyszana, chwytając go za ramię. Przez chwilę zdawało mu się, że przez gęste oczka woalki widzi błagalny błysk oczu.

— Mama... — ciągnęła Juliana z wahaniem — mama powiedziała mi, że panowie zostają aż do czwartku. Po co? Przecież to tylko kaprys mamy, doprawdy nie trzeba się mną aż tak przejmować. Prawda, że ostatnio trochę źle się czułam, ale...

Nawet nie patrzyła, dokąd idzie. Jordan pewnie wiódł ją w głąb ogrodu.

— Chciałabym, aby panowie wyjechali — wyrzuciła z siebie desperacko, po czym, przestraszona własną odwagą, znów zaczęła się wahać. — Tak będzie najlepiej. Ja...

Zamilkła i rozejrzała się. Stali przy kamiennej cembrowinie fontanny.

— Interesujące, prawda? — zauważył niedbale, zupełnie jakby nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiła. — Już rankiem zwróciłem uwagę na te zabawki. Ciekawe, kto je tu porzucił?

Juliana cofnęła się z lękiem.

— To... to zabawki mojego brata. Jutro wypada pierwsza rocznica jego śmierci. Myślę, że to dlatego tak źle się czuję. Wszystko to nerwy, rozumie pan? Nerwy i przygnębienie, nic więcej.

Spróbowała się roześmiać, ale w jej śmiechu zamiast beztroski zabrzmiały histeryczne nuty. Umilkła, speszona.

— A więc brat pani zmarł rok temu? A po jego śmierci matka wyrzuciła tu zabawki syna?

— Ależ skąd! — Potrząsnęła głową, a Jordanowi zdało się, że mimo woalki dostrzega jej czujny, pełen napięcia wzrok. — Alan sam je wyrzucił. Powiedział, że ma już trzynaście lat i nie chce dłużej być dzieckiem. Wyniósł zabawki do ogrodu i próbował podpalić, ale deszcz zgasił ogień. Wkrótce potem miał miejsce ten... wypadek i mój brat zginął. Proszę, czy możemy już wracać do domu? Zimno mi.

Czy twój brat w chwili, gdy stał się dorosły, zaczął wrywać pluszowym misiom oczy?, w myślach zapytał Jordan, ale nic nie powiedział.

Zawrócili w stronę rezydencji. Śnieg przestał padać, promienie zachodzącego słońca kładły się czerwonymi i pomarańczowymi refleksami na ziemi pokrytej białym puchem.

— Wyjedzie pan? — spytała szeptem dziewczyna.

— Nie — odparł równie cicho.

W pobliżu domu Jordan zauważył wydrapane na śniegu litery. Dziewczyna zaskowyczała jak ranne zwierzę i pobiegła. Ruszył za nią, ale nim zdołał odczytać napis, Juliana już klęczała, ramionami zagarniając śnieg wraz z mokrą ziemią. Zdążył zauważyć tylko trzy litery: RAW, ale nie potrafił zgadnąć, jakiego słowa były częścią.

Wieczorem Domenic Jordan długo nie mógł zasnąć. W końcu zapalił stojącą przy łóżku świecę i wyszedł z pokoju.

Zmierzał do biblioteki, licząc na znalezienie jakiejś interesującej lektury, która pozwoli mu przetrwać noc. Bez trudu trafił do właściwego pomieszczenia, ale rozczarował się gorzko, bo w bibliotece było zaledwie kilkanaście książek, z czego większość stanowiły tomy kazań sprzed kilkudziesięciu lat. Poświęcił się więc studiowaniu wiszących na ścianach portretów. Najnowszy przedstawiał panią Marivel wraz z dziećmi. Tuż przy matce stał syn (Alan, podsunęła usłudźnie pamięć), a na drugim planie, w cieniu – córka. Jordan po raz pierwszy ujrzał rysy Juliany. Nie było w nich śladu podobieństwa do matki. Ot, zwyczajna buzia, nawet miła, ale niezbyt ładna. Pomyślał, że kobiety w rodzaju *dòny Emmy* – piękne i dumne – zazwyczaj wolą synów niż córki, zwłaszcza jeśli córki te nie dorównują im urodą.

Przeniósł wzrok na chłopca. Alan miał piegowatą, okrągłą twarz rozpieszczonego urwisa i strzechę jasnych, gęstych włosów. Uśmiechał się zawadiacko, ukazując przerwę między przednimi zębami.

Wcale nie zdziwiło Jordana, że Alan z portretu przypomina chłopca, którego rankiem dostrzegł w ogrodzie.

Następnego dnia przy śniadaniu Jordan pierwszy rozpoczął rozmowę:

— Dowiedziałem się o nieszczęściu, które dotknęło pani rodzinę. Szczerze współczuję. Utrata jedyne go syna to prawdziwa tragedia.

Niosąc do ust łyżeczkę z kawałkiem jajka na miękko, Darnis zamarł. Słowa te, choć wypowiedziane z nienaganną uprzejmością, były pierwszym nietaktem, jaki popełnił Domenic Jordan.

Emma Marivel uniosła głowę i spojrzała Jordanowi prosto w oczy.

— Kochałam Alana bardziej niż kogokolwiek innego na świecie — powiedziała spokojnie, choć było widać, że panowanie nad sobą wiele ją kosztuje. — Nic mi go nie wróci, wiem o tym. Ale wiem też, że syn mój zginął jak bohater i jestem dumna z tego, co uczynił. Choć przyniosło mu to śmierć, to świadomość, że postąpił jak bohater, jest dla mnie pociechą w rozpacz. Nie lubię o tym wspominać, proszę wybaczyć. To dla mnie zbyt bolesne.

Jordan opuścił głowę, jakby godząc się z porażką. Darnis miał ochotę bić kobiecie brawo.

Ale dòna Emma jeszcze nie skończyła:

— Alan kochał mnie równie mocno, jak ja jego. — Jej piękne, błękitne oczy były puste. Nie spoglądała już na swego rozmówcę. Patrzyła w dal, na coś, czego nikt poza nią nie widział. — Zrobiłabym dla niego wszystko, ale nie zdołałam ocalić go przed śmiercią. Był takim dobrym, kochanym chłopcem... I takim odważnym... Dlatego zginął, zginął jak bohater — powtórzyła, po raz trzeci tego ranka.

O jeden raz za dużo, by Domenic Jordan mógł jej uwierzyć.

Jordanowi potrzebny był ktoś, kto wiedziałby, co takiego wydarzyło się przed rokiem w rezydencji Ferlay.

Jakaś służąca, gadatliwa, ale nie nazbyt głupia i najlepiej pozbawiona wyobraźni, myślał, przechadzając się po pokojach. Ale trafił tylko na młodziutki pokojówki, które najwyraźniej potrafiły jedynie się wdzięczyć i chichotać. Potrzebny był mu ktoś starszy, poważniejszy.

Podszedł do jednego z okien. Przez chwilę spoglądał na ogród, potem jego uwagę przyciągnął majaczący pomiędzy drzewami kształt.

Z początku zdawało mu się, że to tylko złudzenie, cień rzucany przez karłowate drzewo o osobliwie wygiętych konarach. Ale ów kształt ruszył w stronę domu i wkrótce Jordan rozpoznał w nim zwinną sylwetkę chłopca. Dzieciak zatrzymał się i spojrzał na niego. Usta poruszały się, jakby coś mówił, ale gdy Jordan otworzył okno i wychylił się na zewnątrz, usłyszał tylko krakanie krążących w powietrzu wron.

Jednak tym razem rysy chłopca były na tyle wyraźne, że nie mogło być mowy o pomyłce. Jeszcze chwilę temu w ogrodzie stał zmarły przed rokiem Alan Marivel.

Jordan zamknął okno i poszedł w stronę kuchni. Kucharki, pomyślał, rzadko kiedy są młode, a często bywają też gadatliwe.

Ale w kuchni zastał jedynie zgarbionego staruszka, który pykając z glinianej fajeczki, grzał się przy piecu.

Jordan usiadł na dębowej ławie.

— Witajcie, dziadku — powiedział uprzejmie. — Od dawna tu służycie?

— Ano od dziecka. — Stary wyjął z ust fajkę. — Najsampierw to za pokojowca byłem, sługę jaśnie pana, ojca naszej pani. Ale że z rąk mi wszystko leciało, to pan

pozwolił, żebym się na woźnicę uczył. O, w tym ja dobry byłem! Konie tak potrafiłem batem zaciąć, że jak wicher gnały, a spod kół skry szły! Ale teraz za stary jestem na woźnicę. Latem w ogrodzie trochę pomogę, ale serca nie mam do tej roboty. A nasza pani dobra, chleb mi daje, choć mogłaby jak psa wypędzić.

— A młodego panicza, Alana, znaliście? Możecie mi powiedzieć, jak umarł?

W zręcznych palcach Jordana zamigotała srebrna moneta. Stary przyglądał jej się chciwie. Nie podobał się słudze ten obcy, bladej mężczyzna. Licho zresztą wie dlaczego, po prostu nie podobał się i już. Ale, pomyślał stary rozsądnie, przecież on niczego złego ode mnie nie chce. Wszyscy wiedzą, jak umarł młody panicz. To żadna tajemnica.

— Powiem, czemu nie. Widział jaśnie pan wieżę, co przy domu stoi?

Jordan skinął głową.

— Zbudował ją pierwszy pan na Ferlay, Martin Marivel. To był dzielny szlachcic, ale i zły człowiek, tak przynajmniej mówią. Sakiewkę wciąż miał pustą, bo wszystko wydawał na wino i kobiety. W końcu jął się diabelskich sposobów i w tej oto wieży, za pomocą czarnoksiężkich zaklęć, próbował ołów w złoto zmieniać. Ale słabe to widać były zaklęcia, bo sakiewka nadal pustkami świeciła. Aż w końcu przyszedł do niego sam diabeł i mówi: ja ci dam złota, ile tylko zechcesz, ale w zamian za lat pięćdziesiąt, w noc wigilii św. Mateusza, duszę twoją zabiorę. Odtąd wystarczyło słowo, by ołów zamieniał się w czystusięńkie złoto, a don Martin zasłynął z bogactwa na całą okolicę. A za pół wieku, gdy siedział na wieży, przyszedł po niego diabeł. Don Martin nie pamiętał już o umowie i duszy oddać nie chciał. Ale kto tam poradzi